

W Y S T Ę P N I A K

Kaśka Kudłata (która już nie jest Kudłata) twierdzi, że jacyś mityczni „wszyscy” oczekują ode mnie „wstępniaka”. Z racji mojej już kilkunastoletniej pracy w różnych załogach wiertniczych należałoby się raczej spodziewać ode mnie „występniaka” ale spróbuję.

To było tak. Na jakimś zebraniu Rady Otryckiej zaproponowałem wydawanie klubowego biuletynu i zażądałem kasy od Kazimiery. Co dziwniejsze On się zgodził - chyba dlatego, że miały to być naprawdę niewielkie wydatki. I pytają mnie - ile Ci to zajmie czasu. Ostrożnie powiedziałem - 4 tygodnie. Na to Krzysio mówi - dobra, za sześć tygodni ma być gotowe. Było gotowe za dwa. Pierwszym przepisującym był właśnie Krzysiu, tzn. przepisał gotowe teksty na tak zwane matryce białkowe a potem BO wydrukowaliśmy na powielaczu. Ja się, szczerze mówiąc, trochę wstydzę tego pierwszego numeru. On był strasznie nieudolny, byle jaki, szczeniacki(?). Postanowiłem nie poddawać się, zwłaszcza, że udało mi się wydać pierwszy numer przed terminem. Biuletyn stał się naprawdę dobry kiedy zajęła się nim Bogna. To ona była prawdziwym redaktorem (naczelnym). I nie ukrywam, że wolałbym być takim jak Ona red.naczem niż założycielem BO. Swoją drogą ciekawie to wyszło - bo red.nacz. Szczupły miał za pracownika innego red.nacza.

Ze wszystkich numerów BO najbardziej podoba mi się numer 23 - wspomnienia po zerówce 1988r. Jeśli zaś chodzi o moje przygody z wydawaniem biuletynu, to przypomnę jedną historię. Otóż zdarzyło się, że przed którymś z Walnych Zebrań Klubu Otryckiego nie był wydany „numer zjazdowy”. Nie wydawałem już wówczas BO, ale na ten dzień, na kilka godzin przed Walnym samowolnie wróciłem na stanowisko red.nacza i w jakimś niesłychanym tempie udało się numer „zjazdowy” dostarczyć delegatom. Historia czy raczej historyjka się powtarza.

Wybierałem się otóż do pracy, znużony i zirytowany kilkumiesięczną przerwą. Telefon od Malutkiego - słuchaj, organizujemy spotkanie na Otrycie - i tu padają bliższe szczegóły na temat terminu, ludzi itp. Może masz jakiś pomysł - pyta Malutki. No, może by tak wydać jakiś specjalny numer Biuletynu Otryckiego. Wygłaszając tę propozycję ani przez moment nie myślałem, że po kilku dniach okaże się kto właściwie ma odpowiadać za wydanie owego specjalnego biuletynu. Do licha, może lepiej byłoby wiercić „na Stargardzie Szczecińskim”, tam byłbym nieco mniej dostępny niż na wiertni Brońsko-5 w gminie Czacz, powiat Kościan, województwo Wielkopolskie. I teraz siedzę u Kaśki w biurze w Poznaniu, środek nocy, popielniczka już prawie pełna, partyjna kawa, gorzała, czekolada na zagrychę. Malutki, ten mój wypieszczony, wychuchany onegdajszymi protegowanymi postanowił też nie spać i z Warszawy, zdalnie, sprawdza, kontroluje postępy pracy i ma rację, bo możemy się zagadać a ja muszę jeszcze powściągnąć swoje gawędziarsko-dygresyjne skłonności. I pracujemy, pracujemy, pracujemy.

Opisuję tu okoliczności powstawania (redagowania) biuletynu, żeby uprzedzić a nawet z góry odrzucić wszelką krytykę. Po prostu czytajcie i - jak prosiłem w Pierwszym Numerze - współredagujcie. Już w trakcie naszej pracy okazało się, że nie da się „bezkarnie” wydać coś, co się nazywa Biuletyn Otrycki (albo Starootrycki). Ilość materiałów jest naprawdę duża, niezbędne są pewne cięcia - z góry przepraszamy. I najistotniejsze - Kaśka i ja bawimy się w to okazjonalnie, doraźnie. Właściwy Biuletyn Otrycki jest wydawany przez Igora Czajkę ale nie udało się nam z nim skontaktować. Planujemy nawiązać z nim bliższy kontakt i zaproponować swoje wsparcie.

Co się tyczy treści - naprawdę trudno jest to wszystko podsumować czy też jakoś opisać. W ogóle wspomnienia mają to do siebie, że są raczej charakterystyczne a jeszcze wspomnienia tylu osób... Był pomysł, żeby policzyć, ile razy w Waszych tekstach pojawia się motyw wchodzenia na Otryt, ale tu sprawa jest akurat prosta - każdy ma na ten temat coś do powiedzenia. Żeby nie przedłużać - bierzcie i czytajcie.

AWG

MAGICZNE PUDEŁKO

W Warszawie...

Chyba pierwsza zadzwoniła Ola.

- Słuchaj...to niesamowite...nie uwierzysz...znaleźli...- tu dramatycznie zawiesiła głos.

- Co znaleźli ?

- Znaleźli Magiczne Pudełko!!!

W pierwszej chwili myślałem, że żartuje. Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek usłyszę tą nazwę - MAGICZNE PUDEŁKO.

- I co...? - nie bardzo wiedziałem, jak zareagować.

- Jak to co? Chcemy je otworzyć.

- Kto my?

- No my, wszyscy. Pojedziemy tam, otworzymy i...

- No właśnie i co? - nie dawałem za wygraną

- I będzie wspaniale.

- Jesteś pewna?

- Nie, ale może warto spróbować.

Potem telefon od Kaśki. Że ona też wie, że włączyła się w organizację **WwCPOMP** (Wyprawy w Celu Ponownego Otwarcia Magicznego Pudełka), że robi o tym specjalny Biuletyn, że już rozmawiała z Malutkim, że oczywiście ma mnóstwo wątpliwości, ale ...itd.

No i czy ja też odczuwam potrzebę zobaczenia co tam jest we środku?

Nie byłem pewien. Wydawało mi się, że zamknęliśmy je tak dawno. Czy wtedy myśleliśmy, że kiedykolwiek jeszcze będziemy je otwierać?

Potem mail od Malutkiego, który był pod wrażeniem, że może skontaktować się ze mną mailem w sprawie MP i w tym celu napisał właśnie maila, żeby to wrażenie wyrazić.

No i zaczęło się - maile, maile, maile - cała lista dyskusyjna, znane i dawno nie widziane nazwiska - Malina, Magda, Grześ, Pawlik, Bogna...Wszyscy zwariowali na temat MP i **WwCPOMP**.

I wszyscy pisali o tym, co być może kiedyś było w Pudełku. Ładnie pisali, uczciwie i z sercem (zwłaszcza Joanna) i determinacją - szczególnie Magda. Pytali czy jadę, czy chcę zobaczyć pudełko, co sądzę o pudełku, czy pamiętam co w nim było, czy chcę się dowiedzieć co jest teraz. Chociaż nie, takich pytań jak to ostatnie prawie nie było.

Komisarz tradycyjnie starał się nadać temu wydarzeniu właściwą rangę.

- Nie powinniśmy zmarnować tej szansy - napisał - nie docenić tego co znajdziemy w środku. Powinniśmy to wykorzystać w celu dalszego doskonalenia i rozwoju. Nie wolno rozmiąć Wielkiej Otryckiej Magii na drobne sentymenty i przyziemne prywatne wspomnienia.

Tylko Kaśka, jak to Kaśka przerzucała się od entuzjazmu do paniki. Ludzie się - Kaczmarczyk nie zmieniają - nas to dotyczy też!

A co naprawdę było w środku? Teraz po tylu latach, nie byłem tego pewien. Właściwie w ogóle nie pamiętałem co było wewnątrz. Dużo lepiej pamiętałem co było na zewnątrz...

Moje samotne podejście w zimie do pustej Chaty, w której był tylko Marucha i nocne podejście z Izą, z tym jej cholernym urodzinowym plecakiem, pod którym myślałem, że ducha wyzionę; nasze alkoholowe upodlenia - szczególnie pierwsze Oli na Zerówce i pierwsze moje w NOT-ie po egzaminie, gdy całowałem Malutkiego po rękach (on się na pewno do tego teraz nie przyzna); nasze sylwestry - te na trapersko i na elegancko - z kobietami w sukniach do ziemi, Jareckim w koszuli z żabotem a Malutkim we fraku; wszystkie zwariowane wyjazdy na weekendy - wyjazd w piątek, powrót w poniedziałek

rano prosto na zajęcia i jeszcze bardziej nasze powroty - szczególnie ten zimą, nocnym z Zagórza, tak zapchanym, że Bogna, Malutki i ja całą drogę staliśmy na korytarzu a pod nami Grzesz i Łukasz spali na przewróconych plecakach - podziwiałem wtedy (po raz pierwszy i nie ostatni) odporność tych dzieciaków, o naszej nie wspominając; zebrania w redakcji, dyskusje w redakcji, imprezy w redakcji; wszystkie Walne z ich napuszoną retoryką (w ogóle wtedy wypowiadaliśmy strasznie dużo, strasznie ważnych słów); obozy które prowadziłem - pamiętną Zerówkę po której została nam Kaśka i Mario i ten morderczy obóz zimowy, którego kierownikiem zostałem w drodze podstępu Jarka i Artura Grudzińskiego - o swojej funkcji dowiedziałem się w pociągu - nigdy Wam tego panowie nie zapomnę! - kilkadziesiąt osób w Chacie, dzieci, psy, śnieg po pas, zimno, głodno, daleko..., wtedy gdyby nie Bogna...oj nie wiem, co było - pewnie zawał w młodym wieku. I te wszystkie imprezy w Warszawie improwizowane u Bogny i prośzone u Ariadny (gdy gospodyni w pewnym momencie wkładała stopery i szła spać zostawiając nas balujących do rana) i...rozmowy z Olkiem, Szczupłym, Grądzkim, Filipem; milczenia z Maruchą, śpiewania z Maliną i Joanną ...
Każdy dokładał swoje, jak do wspólnej kasy. Ale to wszystko były po prostu wspomnienia, a nie magia. Magia była w Pudełku.

Na Górze...

W końcu nadszedł dzień wyprawy. Wszyscy lub prawie wszyscy znaleźliśmy się Pod Górą i zaczęliśmy podejście. Niby tak jak dawniej, ale tym razem inaczej - przecież szliśmy otworzyć Magiczne Pudełko. Droga z jednej strony dłużyła się nam niemiłosiernie, ale na górze nagle okazało się, że to już... że tak szybko, że wszystko się skróciło, tak jakbyśmy wyrosli a miejsca w których byliśmy jako dzieci - zmalały.

Najpierw kolacja - prosta acz w podniosłym nastroju, trochę toastów, trochę śpiewania, trochę wspomnień. A potem już wszyscy pod Wiatę.

A tam leżało w kręgu po palenisku, w sumie niepozorne, drewniane Magiczne Pudełko.

Stanęliśmy dookoła. W ciszy. Malutki jako samozwańczy kierownik Wyprawy (bez głosów sprzeciwu) już za chwilę miał otworzyć wieko. Wziął do ręki jakąś gałąź i postukał w bok Pudełka. Wstrzymaliśmy oddech. Nic. Stuknął mocniej - Znowu nic.

Zebrał się w sobie i uchylił skrzynkę.

- Oj - wyrwało się Malinie jakoś tak śpiewnie i rzewnie jak na Połoninie

- Ach - załkała cichutko Iza ze wzruszenia, a jakże.

- Uhm...- zacukał się Lenin.

- ...- uśmiechnął się Marucha bezgłośnie, aczkolwiek znacząco. Dając do zrozumienia, że on i tak swoje wie.

Marek zebrał się w sobie i zdecydowanym ruchem otworzył Pudełko do końca, przezornie jednak zamykając oczy.

Otworzył i...NIC!

Podeszliśmy bliżej zacieśniając nasz krąg. Pudełko było puste. A nawet zupełnie puste. Wszyscy jakby trochę przygaśli, tylko uśmiech Maruchy lekko jaśniał w ciemnościach.

W pudełku nie było nic. Byliśmy tylko My, dookoła. **Te kilkanaście czy kilkadziesiąt osób wokół małej drewnianej skrzynki.**

W środku nie było żadnej Wielkiej Otryckiej Magii.

Tylko My dookoła.

Tylko?

Przemek

Warszawa 23.09.2001

ZJAZD OTRYT'80 - WYCINKI KORESPONDENCJI MAILOWEJ

10.09.2001 około 15.00

W gronie paru osób związanych kiedyś z Chatą i Klubem powstał pomysł zorganizowania sentymentalnego zjazdu na Otrycie. Obejrzelismy zdjęcia z Otrytu z lat mniej więcej 1985-1990 i zrobiliśmy listę ... W większości nie widzieliśmy się na Górze od lat. Uznaliśmy, że potrzebne jest spotkanie po sezonie i poza oficjalnymi imprezami klubowymi, za to w "swoim" gronie. Tzn. nam jest potrzebne i liczymy, że się do nas przyłączycie i pomożecie w dotarciu do pozostałych.

Malutki

10.09.2001.18.06

Kochani!

Otryt'80 - tak trochę dla draki nazwałem pomysł naszego zjazdu na Otrycie - raz że wspomnienia lat 80-tych, do tego ten dysydencki trochę smaczek ... Tak nazwałem sobie listę w programie pocztowym - mam już ze 20 maili (kopiujcie!) a z iloma osobami rozmawiałem dziś przez telefon ... oj dzieje się dzieje!

Z ostatniej chwili:

Zupełnie bez żadnego kłopotu (choć z duszą na ramieniu) dodzwoniłem się do Maruchy ... i co z tego wynikło dowiecie się w następnym odcinku.

Za to Grzesiek Kostrzewski (zapowiedział się ze swoim koniem) podał mi jakiś lipny numer do Marka Chaszczewskiego. Kto może pomóc?

Malutki

13.09.2001 12.07

Jadę!!! , ale z kim? Może ktoś znalazłby malutkie miejsce w samochodzie jadącym w tamtym kierunku. Czwartek wieczór, albo piątek o dowolnej porze. Dajcie znać, bo na nocny do Zagórza nie zdecyduje się na pewno - mam 10 lat więcej, jestem o niebo bardziej wygodna, mam o dwa nieba mniej czasu (może nawet trzy), ale przede wszystkim jestem zbyt tchórzliwa, aby zmierzyć się z nocnym "wymiarom" Polskich Kolei Państwowych (z dziennym też nie stykałam się od 7 lat).

Dajcie znać proszę!

MADZIA (ex. Majewska)

17.09.2001 16.00

Nocnym do Zagórza???!!! Chyba, że wynajmiemy sobie salonkę i zrobimy całonocną imprezę! Potem z Zagórza specjalnym autobusem (z barem) do Dwernika i, marzyłem o tym nie raz, tragarze z lektykami zaniósą nas do Chaty. Są tacy, mają nawet swój związek.

Jeśli komuś spodobał się ten pomysł to zapraszam do realizacji.

Grzesiek Kostrzewski

17.09.2001 19.56

Ale fajnie, widzę, że pojawiły się dwie koncepcje podejścia na Otryt:

1. w lektykach niesionych przez tragarzy (autor - Grzesiek Kostrzewski)
2. na czworakach - koncepcja upadająca (z powodów kondycyjnych głównie) (autor- Magda Dobrowloska (Majewska))

Nie ukrywam, że jestem za pierwszą koncepcją i ogłaszam plebiscyt - JAK WTASZCZYMY SIE NA GÓRĘ!

Przemek

18.09.2001.09.49

Nie ma co robić plebiscytu - tniemy z buta na górę... Kochani, jeśli taki stary pierdziel jak ja mógł wejść - to i wy młodszy i równolatki dacie radę. Zawsze można wynająć brykę w Smolniku lub Lutowiskach, w celu podwózki pod grań - stamtąd jest już prawie płaskie podejście. (w 1999 wchodziłem tamtędy z kol. Talarkiem na kacu tak ciężkim, jak czołg "RUDY" PS. A może "kawaleria powietrzna" tzn. desant śmigłowcowy na Chatę ??? PS 1. A tak w nawiązaniu - na wszelki wypadek od 3 dni zszedłem z 25 na 15-17 papierosów dziennie...

Pozdrawiam Miron

GRUPA OTRYT'80 - SŁOWNICZEK

Gdyby ktoś zapomniał, nie chciał pamiętać, wstydził się. Ten tekst jest właśnie dla niego. Nie ma tu wszystkich, nie ma tu wszystkiego. Ta rubryka była i jest otwarta.

Andrzej Pawlik - poza mistrzowskim wykonaniem „Makarego” wślawił się szatkowaniem robaczywych maślaków na oczach zohydzonej publiczności w postaci „zerówki'88”. Spożywania kremu Nivea nie będziemy tu szerzej opisywać.

Ariadna - postać jak z greckiej mitologii, jeśli pozwolisz się omotać to zginiesz. Nie dyskutuj z nią - język ma ostry jak brzytwa a umysł chłodny jak tow. Feliks Edmundowicz.

Bogusław Śmigierzewski - człowiek o uroczym wejrzeniu i niebanalnej fizjonomii - podobno na każdej granicy brali go za przemytnika; za to na Otrycie szalały za nim dziewczyny. Po raz ostatni przekroczył granicę francuską - gdzie widocznie cieszy się równym powodzeniem, bo już tam został.

Ewa Lewicka - jedyna kobieta sekretarz, a później Prezes Klubu. Bohaterka znamienego incydentu - w nielegalnym pochodzie, w nocy (po zamknięciu NOT-u), niesiona na długiej desce na ramionach członków Klubu przez miasto.

Filipowicz Leszek - kiedyś lekarz okulista zabronił mu spacerów, jazdy na rowerze, dźwigania więcej niż pół litra ... Wziął więc plecak i wlaź na Otryt, żeby nam o tym opowiedzieć. Wojtek Józwiak zwracał się do niego - Leszku-Filipie.

Grądzki Andrzej - Znamca i antykwariusz historii otryckich, bohater tych co bardziej pikantnych. Sam twierdzi, że swoje piękne Bliźnięta począł w Arturówce, czego nikt przed nim, ani po nim nie dokonał. Pomysłodawca i twórca Biuletynu Otryckiego. Zafascynowały go kiwaki w Czarnej Dolnej. Zostawił więc Bieszczady i wierci dziury w ziemi.

Halinka, Aneta, Kasia "jak siekiera", Magda, Kasia, Ola ... czyli PLURALIZM. Kończył się nasz czas, przyszedł pamiętny czerwiec 1989. Obóz remontowo-budowlany w składzie: Gospodarz: Marucha, Prezes: Malutki, Kierownik Obozu: Darek Widła, Uczestnik Obozu: Kaśka Kudłata, JEDYNA kobieta w tym gronie. Po dwóch tygodniach grzebania się bez wiary w ujęciu północnym elektryzuje nas wiadomość przywieziona przez Mariusza Rzannego - idzie PLURALIZM! Ach te dziewczyny - symbol Nowej Polski - nie jednemu ze starych zawróciły w głowie ...

Hanka - imię Komisarzowych żon.

Heniek Banaszak - przewodnik młodzieży. Pielęgnował i smakował otryckość czystą, aczkolwiek w wersji umiarkowanej. Odrzucał zwłaszcza ekstremizm lewicowy i alkoholowy, co stawiało go w opozycji do warszawskiego establishmentu klubowo-redakcyjnego. Na Otrycie za to z wdziękiem obejmował przywództwo, co było mu bynajmniej nieobojętne ...

Iza Gutowska - otrycka mama z pazurem. Jej plecak zawsze krył tajemnice. Kiedy z braku funduszu żywiliśmy się sałatką z naci dzikiej rzodkwi Iza wyciągnęła z plecaka prawdziwego szampana i pomarańcze. Nie będziemy rozwodzić się nad roztargnieniem Izy, każdy kto szukał jej szkieł kontaktowych na podłodze w trakcie imprezy wie o czym mowa.

Jarecki - współautor hymnu Klubowego "Otryckiego Reggae". Ponieważ najlepiej z nas znał się na filozofii, wiedział, że niewiele na tym polu zdziałamy. Więc to chyba jemu w dużej mierze zawdzięczamy ideę wspólnego śpiewania i muzykowania zamiast samokształcenia...

Joanna Malinowska - Parzydło - nazywana „Malina” - pierwszy głos żeński Otrytu, którą przeznaczenie połączyło tam z pierwszą gitarą... Charakteryzowała się nieotryckim przywiązaniem do własnego wyglądu („paznokietki malu-malu”) i wielkim oddaniem dla sprawy porządku w Chacie. (Kto wyciął orła w zmytym wodą wiatrolapie przy minus 20 stopniach, wszystko rozumie).

Joanna Pawlik - poza znakomitym wokalem wyróżniała się faktem posiadania własnej miski do mycia (chowała ją w szufladzie nad schodami do ogólnej sypialni).

Kaśka Kudłata - z pensjonarki wyrosła prawdziwa kobieta otrycka. Obdarzona nieprzeciętnym wdziękiem i osobowością wyróżniała się też nieprzeciętnie donośnym głosem. Kiedy śpiewała słyhać ją było w Chmielu.

Komisarz - mistrz ekstremalnej sztuki kulinarnej. Nawet gdy robił kanapkę rozbierał się do pasa i wymachiwał nożem wielkości maczety. Specjalność: baranina w różnych postaciach, zawsze surowa i naszpikowana czosnkiem w proporcji 1 główka na centymetr kwadratowy. Jego nalewka składała się zawsze z czystego spirytusu i dwóch ziaren tarniny na jeden litr. (Nastawione 1 min. przed spożyciem). Nigdy nie widziano by sam kosztował tych specjałów;

Krzysz Kazimierczak „Kazimiera” - skarbnik. Jedyna osoba, która znała i zdaje się zna tajemnice finansów Klubu. Złośliwiec z ciętym dowcipem, którego używał do zawstydzania młodych otryckich kobiet.

Lenin - pod taką ksywą ukrywał się spekulant walutowy i giełdowy. Gospodarz Chaty z rekordowym stażem. W tajemniczy sposób pogodził starą rolę z nową gospodarką. Po sukcesach finansowych podejmował gości w Chacie whisky z lodem - w kapeluszu i z cygarem wyglądał jak Humphrey Bogart. Dziewczynom się podobało.

Magda Majewska - zwana również Madzią Armstrong. Osobowość wybitnie wyrazista. Przez pewien czas sekretarka CoCo. Magda nie pozwoliła pocałować się w rękę tow. Janowi Głowczykowi - członkowi Biura Politycznego KC PZPR.

Malutki - Prezes Klubu - zaliczany do grona Prezesów Wielkich. Która się w nim niekochająca? Tajemniczy - w czapce uszance, gumowcach i ten głos i ta gitara...

Mariusz Rzanny - również Prezes Klubu, niezrównany organizator. Wielki interpretator otryckiej klasyki. Publicznie wykonywał jednak tylko jeden standard - za to jak nikt: "Szwagieeeeerkaaa, szwaaagieeerkaaa ..."

Marucha - do historii przejdzie jako Gospodarz Chaty, który wpasował się tam tak dobrze, że wydawało się że zostanie na zawsze. Chyba jako jedyny potrafił prowadzić gospodarstwo otryckie w stanie duchowej harmonii i spokoju. Za to celebrował każdą chwilę jak jakiś Stachura. Dość powiedzieć, że jadł gdzieś przez 4 godziny dziennie

Nikt nie widział go naprawdę wkurzonego z wyjątkiem Karola-Karola, ale też tylko Karol-Karol pozwolił sobie rzucać maczetą w drzwi od kuchni ...

"Karol, ja nie będę ci się uprzykrzał, ale następnym razem przyp... bez uprzedzenia!"

Ola Sztetyło - jedyna znana nam osoba, która nie pozwalała wciągać się w otryckie grupy i podgrupy. Osoba niezwyklej urody i zacności. Oli zasługi dla Klubu i Chaty nigdy nie zostały w pełni docenione - walne u Oli, imprezy u Oli, Ola w kuchni na Otrycie, Ola zawsze z nami!!!

Przemek Szydłak - Prezes Klubu, bohaterski kierownik zerówki'88.

Niezrównany tancerz i rozmówca. Potrafił bawić się bez alkoholu. Choć nie był trzeźwy kiedy całował Malutkiego po rękach - sam się do tego przyznaje.

Szczupły - starsze pokolenie, erotoman - gawędziarz (kiedys to na Otrycie bywały orgie - któż nie zna tych opowieści). Na Otryt przyjeżdżał z wykrywaczem metali - to był szpan.

Waldek Witkowski - los podarował temu silnemu chłopu (swego czasu miał na dole ksywkę Bruce Lee) wrażliwą i refleksyjną naturę. Satysfakcji nie dawała mu ani praca w lesie, ani też gazdowanie w Chacie. Niespokojny duch - na dłuższą metę, każdy układ go krępował. Okazało się, że artysta...

Widły - Bogna, Darek, Łukasz, Grzesiek, Dorota, Joasia - klan otrycki wielopokoleniowy - za dużo ich, aby wszystkich opisać. W każdym razie bardzo zasłużona otrycka rodzina.

Witek Bychawski - kiedy kończył swoją misję na Otrycie, kręcił się po Chacie podczas obozów z wyraźną intencją, żeby komuś przyp... albo przynajmniej go op... Tłumaczy go fakt, że jako jedyny miał na Otrycie swój dom - tzn. żonę i syna. Z wtajemniczonymi dzielił się szczerą przyjaźnią i miłością do historii. Wskławił się powiedzeniem: „Im więcej was widzę tym mniej się was boję!”.

SŁOWNIK TERMINÓW, ZJAWISK I POSTACI OKOŁOOTRYCKICH

Dubielowie - z Chmiela. Ona pojawiała się na Otrycie głównie latem, kiedy goniła swoje krowy w szkodę na nasze łąki. Na górze strzelano do gadziny z łuków. Dubielowa zbierała potem krowy po całym Otrycie (całe i zdrowe, trochę przestraszone). Łąki otryckie koszono z poczucia gospodarskiej powinności - z tego samego powodu siano podkradali nam potem sąsiedzi z dołu. Dubiel nie zawracał sobie głowy gospodarką - za to wczesną wiosną ruszał "za rogami". Wpadał wtedy na Otryt - wypijał kubek "czaju", zawiązał swoje popularne w gazetę i zasuwiał po matecznikach. Jako najlepszy zbieracz w okolicy miał nieraz przyjemność przegonić po lesie paru otrytczyków liczących na szczęście w jego towarzystwie. Wracali po tygodniu łążenia z pustymi rękami ... A potem we wrześniu rogi znajdowały dziewczęta z zerówki siusiające w krzakach 10 metrów od Chaty

Ekologia - to miało być lekarstwo na ideowe i intelektualne zaparcie. Były kontakty z Polskim Klubem Ekologicznym, zaproszeni ekonomiści dyskutowali o Raporcie Rzymskim, pod Chałupą non stop dymiła i śmierdziała na całą okolicę beczka do wypalania śmieci ... Zamiast pięknej polany wokół Chaty wyrósł zagajnik z drzew przesadzonych z lasu albo kradzionych słuźbom leśnym sadzonek.

Festyny - w tym czasie w Klubie poszukującym godnych swojej tradycji wyzwania funkcjonowała idea pracy na rzecz "kulturowego i naturalnego środowiska Bieszczad". Obozy ekologiczne to inna historia, ale te festyny ... Rzeczywiście zamiast forsownych programów naukowych preferowano wtedy budowanie więzi z ludźmi spod Otrytu - w Dwerniku i Chmielu mieliśmy wtedy masę życzliwych nam chałup - już nie tych kowbojskich, ale zwyczajnych - bardziej statecznych Ukraińców i nieobliczalnych chłopaków "z lasu". Dla nich były te festyny: mecz piłki nożnej, flaszka na palu, rzut metrem, występy na estradzie, ognisko i zabawa do rana. Wszystko załatwiane na "papier z pieczątką" w nadleśnictwie, domu kultury i jednostce wojskowej albo za flaszkę lub dobre słowo z ludźmi "na dole" ...

Jurek "Dwatysięce" - historię tego dziwnego przezwiska powtarzano w wielu wersjach, Jurek udzielił go też postaci z opowiadań Janickiego. Do naszej historii przeszedł jako aktywny uczestnik najlepszych imprez. Podczas pierwszego Festynu w Chmielu (ogniska nad Sanem) zamienił z artystą Hanysem (z Gdanska) kilka słów:

- Na chuj się drzesz?
- To nie jazz, to folklor!

Koryto - tradycyjne hasło wzywające na przerwę w pracy, na posiłek. Wydawania okrzyku było przywilejem, a uprawnioną osobę darzono najwyższą sympatią pracujących. Obecnie, w dobie deprecjacji wszelkich wartości - hasło to pozwała się przygotować do "perswadowania w czyjeś ręce"...

Obejmy - był czas, kiedy Klub debatował nad tym czy Chata aby nie osiada lub nie ma w ogóle ochoty się wywalić - wskazywało na to niepokojące zjawisko przesuwania się belek nośnych względem słupów, na których Chata - daj Boże - spoczywa do dziś. By proces ten zatrzymać zaprojektowano a następnie obstalowano Obejmy. Wykonał je ówczesny etatowy spawacz Uniwersytetu - Maciej Jankowski (obecnie niezależny).

Obrochtowie - w tym, że potomkowie zacnego góralskiego rodu z Podhala znaleźli się w Chmielu jest jakaś tajemnica. W każdym razie Obrochta był oficjalnym dostawcą Tego Barana - tym którzy go jedli było pewnie wszystko jedno, ale ci którzy musieli uczestniczyć w zarzynaniu zwierzaka doceniali szybkość i precyzję, z jaką załatwiał rzecz całą Janosik. Obrochta był też mecenasem kultury - tzn. wspierał aktywnie organizację festynów. Np. tzw. scena była w istocie Obrochtową przyczepą od ciągnika. Faktem jest też, że miał w tym czasie dwie córki na wydaniu ...

Wiśniewscy: bracia Piłsudski, Siwy i Szpenio oraz ich matka zwana z szacunkiem Starą Wiśniewską. Stara zasłużyła się jako Główny Energetyk

Festynów w Chmielu. Weszła do historii dzięki temu, że prowadząc punkt skupu mleka koło sklepu i placu festynowego pozwalała nam podłączyć nagłośnienie i oświetlenie do gniazdka w swojej kanciapie. Potem w środku zabawy wyłączała nam prąd i żądała renegocjacji warunków. Piłsudski - najstarszy z braci - mieszkał z matką w Chmielu i trzymał się od nas z daleka. Trochę sobie drwił z komitywy, jaką z Otrytem utrzymywali młodszy bracia. Siwy - średni brat - mieszkał ze swoją babą i dzieckiem na Gajówkach, gdzie często i chętnie gościł całe załogi otryckie. Szpenio, duży, silny i przystojny chłop, mieszkał Bóg-wie-gdzie, często na Otrycie. Gdyby nie "polityka" w Klubie zostałby pewnie Gospodarzem Chaty. Siwy i Szpenio wspomagali nas często ciągnąc na górę prywatne piły i państwowy ciężki sprzęt. Widok Szpenia ryjącego "mazurem" dno Sanu, by wybrać żwir do remontu Ujęcia Południowego rujnuje być może wizerunek Klubu "ekologicznego", ale z powodzeniem nadawałby się na okładkę National Geographic...

WSPOMNIENIE I - Magda Majewska

Jakieś 2 tygodnie temu, moja koleżanka wspomniała o wyjeździe w Bieszczady na wakacje. Wtedy pierwszy raz od długiego czasu przypomniał mi się Otryt. Pomyślałam, Boże! jak dawno to było, jakby w innym życiu. A może by tak pojechać... a może nie, bo mogę zepsuć sobie wspomnienia. I nagle mail od Malutkiego. Jakbym ściągnęła temat myślami. Pierwsza myśl, cudownie, że pamiętają też o mnie. Druga myśl, ee! nie pojedę, bo daleko, bo zostawię Julkę (moja córka). Im dalej w las, im więcej maili od Was, tym większa chęć aby wziąć w tym zjeździe udział. Chrzanić zepsute wspomnienia, będą nowe i pojechać na Otryt znowu będzie po prostu cudownieeeeeee!!!!. Jadę!!! Jeszcze nie wiem jak, z kim, ale jadę. Malina dziś przypomniała mi ten wyjazd, zanim zaczęliśmy razem studia. Nie pamiętałam że nie wsiadła do autobusu, ale pamiętam kiecki i pomalowane Malinowe paznokcie. Pamiętam też parę moralniaków po paru stanach nieważkości, w które wprowadziły mnie imprezy na Otrycie. Przypomniał mi się też mój pierwszy raz na Otrycie. Pojechałam z Sandrą, aby w Lektorium uczyć się do egzaminów na Socjologię. To był obóz remontowy, a ja zamiast nosić wiadra z piachem, raczyłam się lekturą nt. Oświecenia. Pojawił się Witek Bychawski i w sposób siebie godny postawił mnie "do pionu". Nie dobrnęłam nawet do Romantyzmu. Egzaminów oblałam i musiałam zdawać za rok. Ale Witkowi (którego w tym momencie szczerze nienawidziłam, co przeszło mi z resztą w ciągu następnej pół godziny) wdzięczna jestem do dziś, za to że poczułam prawdziwy Otryt, że od tej pory zawsze chciałam tam wrócić i że mam takie wspomnienia z Chaty jakiego mam. Brr, robię się sentymentalna.

GRZEŚ KOSTRZEWSKI - POD ŻUBREM

Ile obrazów przywołują te dwa słowa. Parterowy pawilon z wielkimi oknami, przez które i tak prawie nic nie było widać. Bo i kto i na co miał się gapić? Drzwi ciężkie, stalowe. Takie które nie urywają się z lada powodu. Za nimi tonąca w papierosianym dymie sala. Widać tylko gumofilce i stalowe nogi krzeseł. To co wyżej tonie we mgle. I ten niepowtarzalny gwar, który uderzał wchodzącego jednocześnie ze smrodem. Prawie wszystkie stoliki zajęte. Bez względu na porę. Knajsza okupowana od rana do nocy. Załoga "Iglopolu", pracownicy "Lasów Państwowych" i kogo tam jeszcze przyniosło. Wszyscy siedzą, w garściach kufle, na stołach kufle pełne i puste, bo kto zamawia mniej niż cztery. Piwo na stołach, na podłodze, w brzuchach. Jak kto miał ochotę i pieniądze to pół litra stoi, a piwo na popitkę. Toczą się dyskusje. Polityczne, obyczajowe, tu nie ma tematów tabu, cenzury. Panuje całkowita wolność wypowiedzi. Dyskusje czasami przeradzają się w ostre spory rozstrzygane w sposób bezkompromisowy, a i bywa ostateczny. Nad tym żywiołem panuje Ona. Stenia.

Lawiruje między rafami stolików obleganych przez stada waleni dźwigając nie pięć ale znacznie więcej kufli.

Stenia przypomina walec. Nie! Nie drogowy! Figurę geometryczną. Walec zwieńczony kulą. Wzrostu jest nikczemnego, twarz ma szpetną ale i tak jest najważniejsza. Decyzja kto i kiedy dostąpi zaszczytu obsłużenia należy wyłącznie do niej. A motywy jej postępowania bywają bardzo różne. Cóż, Stenia (podobno) jest kobietą! I ten fakt bezpardonowo wykorzystywałem. Stenia zakochała się. Nie, nie we mnie. W Marku Chaszczewskim. A ja łapałem się przy nim na "krzywy ryj". Nie było mowy o jakimkolwiek oczekiwaniu. Gdy Marek pojawiał się w zasięgu zmysłów Steni znikali inni klienci. Rzuciła wszystko i pędziła do niego z okrzykiem: "Panie Mareczku, czym mogę służyć!?" Do czasu. Razu pewnego zaszliśmy "Pod Żubra" we trójkę. Z Lucyną-Medycyną. To był pierwszy afront wobec Steni. Nie kwiknęła radośnie na widok swego pupila. Udała, że nie dostrzegła jego przybycia. Jakoś udało się zamówić herbatę. Śmierdzącą. Tak, to może wydać się komuś nie pamiętającemu socjalistycznego raju niemożliwe, ale herbata też może śmierdzieć. Marek, człowiek w świecie bywały i idealista walczył w tamtych czasach o podwyższenie godności konsumenta w uspołecznionych placówkach gastronomicznych. We wszystkich knajpach czepiał się o to, że szklanki są niedomyte, że kotlety drugiej świeżości, że dookoła brudno a kelner za wolno chodzi (a jak miał chodzić? Był przecież w pracy!). Krótko mówiąc, wstyd było się z nim pokazać w eleganckim lokalu! A i bywało niebezpiecznie gdy żądał "Książki życzeń i zażaleń". Z niepokojem czekałem na to jak zareaguje na fetor unoszący się ze szklanki.

"Pani Steniu, dlaczego ta herbata tak dziwnie pachnie?" cichutko zapytał Marek.

Odetchnąłem. Nie prosi o "Książkę". Stenia chwyciła szklankę podniosła do perkatego nosa.

"Bo chlorowana!" I poszła sobie.

Historia bez puenty ale chyba oddaje nieco klimatu knajpy "Pod Żubrem".

PÓŁ LITRA I KOTLECİK - KAŚKA

To nie jest opowieść z gatunku pijackich wspomnień, ale historia o poświęceniu.

Michał Gierbisz i ja zostaliśmy wysłani po piwo do Lutowisk. Schodziliśmy z góry z plecakami wypełnionymi pustymi butelkami po tzw. „długich nożach”. Mieliśmy wymienić je na pełne butelki Żywca. W Chacie wszyscy czekali na alkohol. I co? I piwa w całych Lutowiskach nie było. I wódki też nie było. Nawet punkt skupu butelek był zamknięty.

Z tymi brzęczącymi plecakami poszliśmy „Pod Żubra”. Tam pełna sala – sami królowie gór. Siadamy z Michałem przy stoliku. Podchodzi kelnerka i Michał prosi – pół litra. Pani z oburzeniem, że alkoholu bez konsumpcji nie poda bo to jest porządna restauracja. Michał na to twardo – Prosimy kotlecik i pół litra. Wódkę schowaliśmy do plecaka, kotlet stał nieporuszony. Michał znowu zamówił – kotlecik i pół litra. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Ja wzbudzałam podziw tych co się nie połapali, a Michał wzbudzał mieszane uczucia. Kto porządny tak poi dziewczynę? A dziewczyn w tej sali było dwie – ja i kelnerka. Niewiele dzieliło nas od bójki (Michał uważał, że powinnam go obronić), ale wybawił nas Józek Polański. Salwowaliśmy się ucieczką. Do tej pory się wstydzę, bo kiedy Michałowi nie udało się włożyć mi na plecy wszystkich pustych butelek „Te, młoda, ty dasz radę je wnieść” podrzuciliśmy je do gospodarstwa naszego Polańskiego wybawcy.

Nikt w Chacie nie docenił naszego poświęcenia. W środku nocy na górze zjawił się Józek i koń. Nic nie mówili o pustych butelkach. Józek napił się i śpiewał, jak zwykle, własną kompozycję o miłości – chyba do Izy Gutowskiej – nie wiem.

BOGNY NIEPOROZUMIENIA, WPADKI, NIETAKTY

Moją życiową przygodę z Otrytem i Otrytczykami poprzedziło rozpoczęcie pracy w „Colloquia Communia”. Myślałam wówczas: *redakcja dwumiesięcznika naukowego... no cóż, pewnie jakieś jajogłowe tłuki, przeintelektualizowane smędziele i smutasy*. I cóż za NIEPOROZUMIENIE! Usiłując pracować w redakcji, poznałam kilku pojebusów, wielu zakreconych, ale przede wszystkim mnóstwo cudownych i bliskich mi do dziś ludzi.

Pewnego dnia pojawiło się piękne, młode dziewczę - rozchichotane, trzepoczące rzęsami i rzucające zalotne spojrzenia. Wydawała mi się wtedy głupiutką gąską, taką, co to tylko o ciuchach i miłostkach... Kolejne NIEPOROZUMIENIE! Malina - bo o niej piszę - okazała się uroczą i mądrą kobietą. Wydaje mi się, że z biegiem lat nasza przyjaźń przybiera nowsze oblicza. I dobrze, bo obydwie dzięki temu się wzbogacamy.

W redakcji często przesiadywał On. Siadał na krześle przy drzwiach, niewiele mówił, ale uważnie słuchał. Z rzadka wychodził na zajęcia, po czym wracał, siadał i obserwował. Grądzki mi szeptał, że ów On jest jego pupilem, że to Ktoś, jeśli nie teraz, to kiedyś na pewno. Przez krótko sądziłam, że On nie umie mówić. I co za NIEPOROZUMIENIE! Umie, a jakże. Nie lubi tylko gadać po próżnicy. Ale jak coś już powie, to aż miło słuchać. Mądry, z sercem na dłoni, zawsze gotowy do pomocy. Przyjaciel na dobre i na złe. Z niezwykłym poczuciem humoru. Kto? No, On - Malutki (kiedyś nawet chciałam go adoptować, ale chyba wypiliśmy za mało, bo do tego nie doszło).

A pamiętacie takiego niezwykle przystojnego (na jego widok dziewczuszki po nogach sikały), nieco zmanierowanego, ale uroczonego i inteligentnego? Andrzej Pawlik (dawniej nazywano go - Pawlik, ale się na to obruszał). Kiedyś jechaliśmy razem na Otryt, gdzie już był Darek i moje dzieciaki. Andrzej się uparł, żeby podchodzić drogą przez Tajwan. Powoli zapadał zmierzch, potem noc, a my podchodziliśmy i podchodziliśmy (była zima, droga absolutnie przez nikogo nie przetarta). Któryś z młodych wpadł w panikę, bo wilki i te rzeczy... Ale wilków nie było. Nie znaleźliśmy Chaty. Co za WPADKA! Brnąc w śniegu zeszliśmy na dół, poszliśmy do Jurka Dwa Tysięcy. Przenocował nas, nakarmił, rozgrzał gorzałką. Następnego dnia okazało się, że w nocy byliśmy o kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów od Chaty, a wilki... szły po naszych śladach.

Pewnej zimy Darek i ja zostawiliśmy dzieci pod opieką Babci i Dziadka, a sami wybraliśmy się na Otryt na Sylwestra. Było wspaniale. Nikt nie stronił od napitków, toteż jedni wcześniej, inni później, ale wszyscy się popili. W którymś momencie chciałam iść na siusiu. Zakładając buty, zobaczyłam swojego małżonka wbitego głową do dołu w przestrzeń między schodami a ścianą! Biedaczysko siedł na górę, omsknał się i spadł w kierunku dolno-bocznym. Jak on się tam zmieścił?! Potrzeba było paru chłopa, żeby Darka stamtąd wyszarpnąć. WPADKA w pełnym tego słowa znaczeniu!

W redakcji poznałam też Leszka Filipowicza, znanego pod ksywą „Filip”. Świetny facet, który niejedną swą celną i lakoniczną uwagą doprowadzał ludzi do ataków śmiechu i spazmów radości. Kiedyś Filip wpadł do redakcji krzycząc z tryumfem: *Mam w oku kawałek trupa! A wy nie!* Chodziło o Filipową operację oczu. Filipku, czyż to nie był NIETAKT w stosunku do Twojego darczyńcy? Przypomnę też legendarne powiedzenie Filipa: *No widzicie, czyż nie można się dobrze bawić bez alkoholu?..... NIE MOŻNA!!!*

Mój Redaktor Naczelny - Jerzy Szczupaczyński był nieupierdliwym szefem. Ale żaden personel nie lubi być za często kontrolowany. Gdy wizyty RedNacza stawały się zbyt częste, przejmowaliśmy z Olkiem inicjatywę. Nasz szef, w owych czasach, był odrobinę hipochondryczny, no może po prostu dbał o swoje zdrowie. Gdy pojawiał się na progu, Olek wbijał w szefa troskliwy wzrok. Jurek się peszył: *Co mi się tak przypatrujesz?* Olek: *Nie, nic, cieszę się po prostu, że Cię widzę*. Wtedy odrywałam wzrok od pracy i

mówiłam: *Coś, Jurku kiepsko wyglądasz, a przecież panuje grypa*. RedNacz zaczynał być niespokojny: *Naprawdę źle wyglądam? Nie, przecież dobrze się czuję. Chociaż, wiesz, może masz rację, jednak coś mi chyba dolega. Bogna, daj lusterko*. Po czym nasz przełożony z troską oglądał w lusterku swój wystawiony język. Dochodził do wniosku, że chyba jest chory i oddalał się z redakcji. Wmawianie pracodawcy choroby to chyba NIETAKT, co?

Pewnego ciepłego dnia postanowiliśmy urządzić imprezę na działce Andrzeja Pawlika. Ustaliliśmy punkt zborny, a dla tych, którzy mieli dojechać później, Andrzej wyrysował mapkę orientacyjną. Iza Gutowska, która z urokiem spóźniała się na każde spotkanie i tym razem nie dotarła ze wszystkimi. Myśleliśmy, że dojedzie później, ale nie pojawiła się. Impreza była huczna i niezwykle udana. Jak się okazało, Iza właściwie dotarła na miejsce, ale wylądowała po drugiej stronie Narwi. Słyszała nasze wrzaski i śpiewy, ale nie mogła się do nas przedostać. Co za WPADKA!

Teraz dwa NIETAKTY mojej młodszej latorośli - Grzesia. Lenin, znany też jako Andrzej Wiórko, po wyjściu z wojska nie bardzo miał się gdzie ulokować. Od czasu do czasu bywał na Dunikowskiego, a niekiedy u nas nocował. Zdarzało mi się też nakarmić przyjaciela. Pewnego dnia malutki Grzesz otworzył Andrzejowi drzwi i powiedział z wyrzutem: *A ty co, znowu przyszedłeś na obiad? Należy tu wspomnieć, że Grzesz jadał zawsze wszystko i w dużych ilościach. Gość w porze obiadowej stawał się nieopatrzenie rywalem dzieciątka*. Drugi NIETAKT Grzesia dotyczył Andrzeja Gradzkiego. Andrzej w drodze ze swoich szybów do domu i odwrotnie czasami wpadał i u nas nocował. Po którejś nocy Grzesz pod poduszką Andrzeja ustawił na sztorc otwarte nożyczki (taki mały „ojciec chrzestny”). Fe, Grzesiu, toż to NIETAKT.

Mój starszy synek - Łukasz - ze stoickim spokojem znosił tabuny przewalających się przez nasz dom Otrytczyków. Podczas każdej imprezy, dzieci najpierw bawiły się i śpiewały z nami, po czym szły spać do małego pokoju. Czasami do tego pokoju zaglądał jakiś znużony Otrytczyk. Andrzej Pawlik kiedyś poczuł się tak zmęczony zabawą, że wszedł do dzieci, odsunął Łukaszowego misia i położył się przy moim dziecku. Rano Łukasz rozejrzał się dookoła i spokojnie spytał: *A gdzie mój misio?* Absolutnie nie zdziwił go widok ani specyficzny zapach (bo nie były to imprezy bezalkoholowe) Andrzeja śpiącego obok. To była WPADKA Andrzeja - nie można zabierać dziecku misia.

Najwspanialszą jednak WPADKĄ Otrycką są bliźniaki Gradzkich. Poczęte przecież zostały, na górze (chyba w Lektorium, tak Andrzej i Ewo?).

Niektórzy omijali skrzętnie Krzysia (zwanego Kazimiera), uważając go za osobnika, który potrafi się tylko wyzłośliwiać. To NIEPOROZUMIENIE. Krzysz istotnie ma cięty język, ale jeśli wie się, jak z nim postępować, okazuje się wspaniałym przyjacielem i człowiekiem, że do rany przyłóż!

Pamiętacie naszego redakcyjnego rezydenta - Tadzia Grochulskiego? Tadzio charakteryzował się m.in. głębokimi i ciekawymi myślami artykułowymi z gęstego zarostu, umiłowaniem do napojów wysokowych i niejaką agresją po tych ostatnich. Na Otrycie Tadek zawsze palił się do roli zaopatrzeniowca. Z ochotą schodził z góry, robił zakupy i... spożywał te płynne w drodze do Chaty. Trzeba było organizować ekipę poszukiwawczą, która odnajdowała Tadzia śpiącego już zazwyczaj w jakimś ustroniu, zabierała resztę zakupów, jeśli jeszcze jakieś zostały, a Tadzia zostawiała w objęciach Morfeusza. Po pewnym czasie, nie wypuszczaliśmy już samego Tadeusza na zakupy. Kiedyś jako obstawa Tadzia, a raczej zakupów, poszedł mój mąż. Tym razem ekipa musiała szukać nie jednego, ale dwóch osobników. Mój mąż z chęcią uległ przebiegłej perswazji Tadzia i postanowił wraz z nim uraczyć się tym i owym. Na skutek NIEPOROZUMIENIA obaj zapomnieli, gdzie też mieli donieść aprowizację.

Na młodych dziewczętkach, które wpadały w towarzystwo otryckie, ogromne wrażenie robiły długie, niezwykle barwne opowieści Szczupłego o Otrycie. Najmocniejszy dreszcz targał ich młodymi ciałami, gdy Szczupły opowiadał - z charakterystyczną bezpośredniością - o strugach spermy spływających po ścianach Chaty w trakcie dzikich orgii. I co? I nic. To

NIEPOROZUMIENIE. Jakie tam strugi, co najwyżej kropelki, i na pewno nie na ścianach.

Myślałam, że napiszę tylko kilka słów, a zobaczcie, co wyszło. Ale tak to jest. Gdy zaczyna się myśleć o Otrycie i Otrytczykach, wspomnienia się mnożą i mnożą, jak króliki. Największym zaś NIEPOROZUMIENIEM jest, że tamte czasy tak szybko minęły! Mogłabym tak długo, jak i pewnie każdy z Was. Dostyc już. Całuję wszystkich Otrytczyków

Bogna

PS. Chcę tylko dodać, że moje maleńkie dzieciaczki troszkę podrosły. Łukasz jest szczęśliwym mężem Doroty i tatusiem kochanej Joasi, a Grześ w tym roku będzie zdawał maturę. Dzieciaki niezwykle szybko się starzeją.

WALDEK - WSPOMNIENIE ŁÓDZKIE

1. Mój pierwszy raz.

Z racji sentymentalnego charakteru zjazdu wielu z Otrytczyków wraca pamięcią do swoich pierwszych podróży na Górę. Moje spotkanie z Chatą miało dość niecodzienny przebieg. Na drugim roku studiów zostałem szefem koła naukowego socjologów UŁ. Jednym z pierwszych zadań, jakie przyszło mi realizować w związku z tą funkcją, było zorganizowanie obozu naukowego. Krążąc palcem po mapie Bieszczadów napotkałem wielce intrygujące hasło „Chata Socjologa”. Nie mając zielonego pojęcia „czym to pachnie”, ruszyliśmy w drogę (min. Agnieszka Bartoszek i Piotrek Obraniak). Po doświadczeniu atrakcji, które są udziałem podróżnych pociągu relacji Łódź (21.00) - Zagórz (9.00) zakładaliśmy, że nic gorszego nie może nas już spotkać. Jak bardzo myliliśmy się w naszych szacunkach pokazały następne godziny. Po kilku niezbyt fortunnych decyzjach (min. cynaderki w dworcowym barze) wylądowaliśmy ostatecznie w Dworniku, będąc całkowicie przekonani, że to Chmiel (!). Zaczęła się mozolna wspinaczka. Według mapy z Chmiela do Chaty należy kierować się nieco w prawo, co też uczyniliśmy. Pogoda tego dnia była wyjątkowo parszywa nawet jak na początek maja. Sporo zleżającego śniegu, błoto, deszcz i przenikliwy, zimny wiatr - ohyda. Mniej więcej po godzinie błędzenia przestało nam być do śmiechu. Zaczęło zmierzchać. Był jeszcze czas na odwrót, ale wstyd pomieszany z ambicją nie pozwoliły mi na rejteradę. W następnej godzinie zrobiło się już całkiem ciemno a my byliśmy wspaniale wyekwipowani na okoliczność nocowania w lesie (np. nikt nie zabrał latarki). Nie było jednak wyjścia; dziewczyny popłakiwały a jeden facet (120 kg żywej wagi) zaczął narzekać na bóle w mostku. Zdecydowaliśmy się na założenie obozu. Dogodnym miejscem okazała się dziura powstała w miejscu po starym, powalonym buku. Grajdoł ten jako tako chronił nas od wiatru. Rozpalone a później zasypane ognisko posłużyło za system „ogrzewania podłogowego”. Dach zrobiliśmy z gałęzi i sporych rozmiarów parasola (!), który obok elektrycznej maszynki do golenia i suszarki (!) stanowił podstawę ekwipunku jednego z moich podopiecznych. Tak minęła moja pierwsza noc na Otrycie... Rankiem, po przejściu nie więcej jak 500 - 1000 m. zastukaliśmy do drzwi Chaty.

2. Zapoznana pieśń

Każdy z nas zna wiele otryckich pieśni „masowego rażenia”. Większość z nich utrwalonych została w różnego rodzaju śpiewnikach, także tych wydawanych przez Klub. Chciałbym jednak przypomnieć taką, która choć zacna nie została (chyba) spisana ku pamięci przyszłych pokoleń. Piosnka ta powstała *ad hoc*, w trakcie jednej z bynajmniej nieobojętnych imprez, gdzieś w połowie lat 80-tych. Jej autorem i pierwszym wykonawcą był niedościgniony mistrz suspensu - J.P. Pomimo, że bardzo krótka, to jednak bogata w treści tak głębokie, że przekraczające możliwości intelektualne zwykłego śmiertelnika. Ale, dość reklamy, czas zacytować dzieło (w całości):

„Heja people! Heja woman! Hej kolęda, kolęda!”

Warto nadmienić, że w trakcie premiery nasz Bohater wykonywał ją nieprzerwanie od zmierzchu do świtu, zużywając przy tym tamburyn i „przeszkadzajkę”. Na koniec zaprezentował zaś efektowny lot koszący z finałem w kominku.

Waldek Dymarczyk

ZERÓWKA'88 (na specjalne życzenie Maria - tekst o miłościach)

Miłości i romansów na tej zerówce było wiele, a jeszcze więcej rozład i zaskakujących volt. Właściwie każdy się w kimś zakochał. Miłości te były szczęśliwe przez kilka dni. Później były zawody, złamane serca, a wszystko to na oczach 30-osobowej publiczności. Zerówka to bowiem była największa. Szczególne wzięcie mieli starzy Otrytczycy za wyjątkiem może Andrzeja Pawlika, który już wtedy był zdecydowanie starym Otrytczykiem a na dodatek zajęтым.

Hormony, feromony grały jak orkiestra dęta w całym towarzystwie. Ja sama podczas tych czterech tygodni aż trzy razy zmieniałam przedmiot westchnień. (Zdaje się, że byłam w absolutnej czołówce).

Mężczyzn też była nadpodaż bo zerówka to była największa.

Teoretycznie były to praktyki robotnicze. Nasza praca polegała na tym, aby nie wleźć pod ścinane właśnie drzewo. Kiedy pilarze w osobach: Szpenia, Pawła i Włodka oczyszczali las - niedaleko Chaty - my mieliśmy znosić pocięte gałęzie w wyznaczone miejsce. Po trzech dniach pracy ustalili się pewien rytuał: któryś z pilarzy ścinał dorodne drzewo krzycząc „uciekać!!!!”. Karol Karol zaś niezmiennie wlaził pod walącego się buka. Po każdym takim wydarzeniu - bo Karolowi nic się nigdy nie stało - zdenerwowani pilarze przerywali pracę i musieliśmy się napić. Później, nawet kiedy była pogoda, zgodnie rezygnowaliśmy z pracy na rzecz paru godzin przy wódeczce.

Kierownikami naszej zerówki byli: Iza Gutowska i Przemek Szydłak. Przemek był blisko nas - czytaj wysłuchiwał i pocieszał - szczególnie w sprawach miłosnych. Niestety, jako kierownik sam nie odpowiadał na żadne miłosne sygnały. (Mężczyźni u władzy zawsze znajdą wielbicielki).

Iza zaś reprezentowała nurt starych Otrytczyków. Przynależność do tej elitarnej grupy manifestowała się głównie przesiadywaniem w służbówce - to dopiero była nobilitacja. Siedziały tam Pawliki, Iza i czasem Heniasty - w nim kochała się Dominika Depta i ja, ale oczywiście krótko.

Był jeszcze Malutki - ten mieszkał w Lektorium i poza wieczornym śpiewaniem raczej nie komunikował się z uczestnikami obozu. Aha, mimo nieobecnego wzroku i pogardy dla życia bezbłędnie wyłapywał wyrykiwane z tarasu „KORYTOO” i zawsze przychodził. Jadł dużo, patrząc w miskę i znikał. Pewnie dlatego, zainteresowanie dziewczyn jego skomplikowanym wnętrzem (tak wtedy tłumaczono podobne zachowania) było ogromne. Fama głosiła, że Malutki jest zakochany - uwaga- bez wzajemności w Malinie - co czyniło go jeszcze ciekawszym i plasowało wysoko w rankingu miłosnych podbojów. Malina zaś plasowana była nisko jako konformistka. Nie rozumieliśmy jak można wybrać wyjazd do Szwajcarii zamiast życia w Lektorium - z Malutkim, w otoczeniu dzikiej przyrody, drelichów i czapki uszanki, z która Malutki się nie rozstawał jak radziecki czekista.

Marucha, podobnie jak Malutki, niezbyt dużo mówił. Raz zwrócił się do Karola, ale to były słowa obraźliwe. Odezwał się też raz do Ewy, która była nim wyraźnie zainteresowana. Poszli na spacer i po dwóch godzinach marszu Marucha w końcu się odezwał. Powiedział „sowa” wskazując jakieś drzewo palcem i to był koniec rozmowy.

Mario Rzanny zakochał się na krótko chyba w Kasi Ani. Później przyjechały do niego koleżanki z Żyrardowa i w Eli zakochał się Zbyszek - na nieco dłużej. Dziewczyny nie miały praktyk, ale miały gitarę i śpiewały. Zawsze to samo: „I dalej wciąż dalej przed siebie” oraz „Trzech pasażerów pociąg wióóóóół od Czitałej do Syrakius”. (nie wiem jak się to poprawnie pisze, więc będzie fonetycznie).

Alek Kaczorowski, też zawsze śpiewał to samo, ale „Taki wał” stał się hymnem naszej zerówki.

Poza romansami, zajmowaliśmy się na Otrycie głównie gadaniem. Nie były to może, z dzisiejszej perspektywy, rozmowy bardzo rozwijające. Jak choćby ta kiedy Justyna opowiedziała mi tragiczną historię o tym jak biała kobieta urodziła murzynka bo jej biały mąż przed jej zapłodnieniem był u

czarnoskórej prostytutki. Gadaliśmy bez przerwy. Kiedyś, taszcząc wieczorem bańkę mleka na górę tak zagadaliśmy się z Przemkiem, że zgubiliśmy się na podejściu od Chmiela. Nie tracąc wątku błakaliśmy się po lesie - ja już trochę wystraszona, a Przemek z tym mlekiem na plecach.

Mogłabym jeszcze pisać i pisać. Uważam, że to była największa zerówka pod każdym względem. Pogoda tylko była kiepska.

Temu kto ma inne zdanie powiedzieć mogę jedynie „taki wał”.

Kaśka

KOMISARZ

Mam nadzieję, że Zjazd Sentymentalny nie przekształci się w płacz za utraconą młodością (i szansami), ale będzie spotkaniem dojrzałych ludzi (nie ma to związku z wiekiem biologicznym, o czym przekonujemy się wielokrotnie). Cieszyć się będę, że spotkanie pozwoli nam na potwierdzenie przekonania o wyjątkowości naszej grupy i słusznego wyboru, jakiego dawniej dokonaliśmy (niektórzy sądzą, że stało się to przez „Przypadek”).

Z czasem przechodzi nam dawna agresja, chęć walki o wszystko - wpływania na otoczenie. Zaczynamy doceniać wartości, które wcześniej przypisywaliśmy młodzieńczym uniesieniom i nadwrażliwości. Zaczynamy dokonywać życiowych bilansów, zdumieni jak mało trwałych wartości pozostało. Może zdawać się niektórym, że wyrosli z Otrytu, inne życiowe obowiązki odcięły ich od grupy przyjaciół. Ale z czasem wszyscy wracają ...

Fenomenem jest krótki czas w jakim nastąpiło wykształcenie się „społeczności otryckiej”. Jest szansa, iż niedługo zastąpi nas następne pokolenie, tym razem biologiczne. Dzieci starszych otrytczyków wędrują już samodzielnie po Bieszczadach, a nawet są już członkami Klubu. Moim zdaniem ta sytuacja to zwycięstwo idei Chaty Henryka Kliszki... Heniu wiedział, że jest możliwe stworzenie miejsca, gdzie zwykle podziały społeczne zostaną zawieszane.

Teraz przez kilka dni możemy zapomnieć o „czujności partyjnej”, obowiązkach w pracy. Mamy szansę przekonać się, że będziemy trwać w starych przyjaźniach, a uznane przez nas wartości przełożymy naszym następcom...

Ech, w ogóle będzie „duszaszypatielno” (jak zwykła mawiać diaspora), a może jak w „Mistrzu i Małgorzacie” znajdziemy tylko Spokój. To podobałoby się Bellvitowi.

Może za wiele sobie obiecuję.

MALUTKI STORY

W Bieszczady przyjechałem pierwszy raz jeszcze podczas wakacji w liceum - i to od razu do Lutowisk. Przyjechaliśmy z kompletnie niepraktycznym ekwipunkiem, zapasem konserw na dwa tygodnie i z pomysłem chodzenia po górach. Już pierwszego dnia wyszliśmy na Tajwan szukać drogi na Otryt, skąd miała zacząć się wielka wyprawa z mapą i kompasem ... jednak traf chciał, że na Otryt wszedłem dopiero po paru latach jako uczestnik zerówki.

Może dobrze się stało, bo dzięki temu popróbowałem w międzyczasie trochę "prawdziwego" chodzenia po górach z namiotem i radziecką maszynką na denaturat w plecaku. Zresztą wtedy bardziej pociągały mnie połoniny, "worek" a prawdziwe Bieszczady zaczynały się dla mnie po drugiej stronie Sanu.

Otryt był jak przeznaczenie. "Wsiąknę" tam od pierwszego razu - po zerówce był baran, po baranie Rajd Zaduszkowy - ja cały czas zapatrzony w Henia Banaszaka i Jurka Szczupaczynskiego - i nie rozumiejący tego delikatnego napięcia pomiędzy nimi. Ale to dzięki nim wszystko było na poważnie - Chata, otryckość, reguły, wspólnota, praca. Jak bardzo chciałem być z nimi - Otryt śnił mi się po nocach. Potem okazało się że w Warszawie też tętni fascynujące, kolorowe życie - Klub, wydawnictwa, redakcja, kawiarnie, echa

wielkiej polityki, gier i podziałów. Przyjaciele - Gradzki, Olek, jakby na mnie czekali ... Szybko okazało się, że żyję tylko tym - preliminarzami, wydawnictwami, planem obozów, remontem ujęcia północnego, potem południowego, potem znowu północnego. Do tego ten kryzys idei i tożsamości Klubu, nie kończące się dyskusje i poczucie powinności...

Otryt - już bez swojego lidera Kliszki, przez to trochę dekadenski, oderwany, często na bani, stał się niezwykłą niszą dla ludzi z mojego pokolenia, którzy swoje różne inicjacje przechodzili w smutnych, szarych latach po stanie wojennym. Otryt był utopią i przyciągał tych którzy chcieli uciec. Fantastyczną enklawą, w której dziwaczne projekty klubu zagubionych finansowały z powagą Uniwersytet i ZSyP. Czego tam nie było ... kończące się pijaństwem i ekscesami festyny w Chmielu, obozy ekologiczne polegające na przesadzaniu drzew z miejsca w miejsce, wycieczki a to w buddyzm, a to w teatr - wszystko niby na poważnie, ale nigdy do końca. Klub był taki jak całe gospodarstwo otryckie - niewydajny i marnotrawny.

Ale jednak to intensywne, barwne bycie tam, rytuały, wspólnota i muzyka - bez wielkiej filozofii - miały sens. W odróżnieniu. Jednak takie życie nie miało prawa istnieć poza tym miejscem, takie miejsce nie miało prawa istnieć w ogóle - choć my mieliśmy szczęście tam trafić. I to se ne wrati.

Teraz wystarczy, że spojrzę na to co napisałem i dochodzę do wniosku, że jestem nieźle szurnięty - tzn. na pewno byłem wtedy, ale okazuje się, że nie do końca mi przeszło. No i co z tym zrobić? Nie potrafię tego doświadczenia skwitować, zdeprecjonować, zamknąć za sobą. W kategoriach dobra i zła ocena tego okresu mojego życia też nie będzie prosta. Otryt dla wielu z nas był też destrukcyjny, niebezpieczny, można się tam było zgubić.

Moja historia kończy się jednak happy endem. Na Otrycie znalazłem Miłość, która ochroniła mnie i zaprowadziła w bezpieczne miejsce. I jest dzisiaj ze mną. Cieszę się z tego, cieszę się że mam ten Kompas, dzięki któremu nie pogubię się w swoich emocjach, kiedy znowu wejdę na Górę ...

Malutki

MÓJ MALUTKI OTRYT - MALINA

Otryt. Dla każdego z nas coś innego...

Tylko dla turystów spędzających dziś noc w Chacie Otryt jest konkretnym miejscem na geograficznej mapie Polski. Wymagającym latarki i gumiaków. Dla nas Otryt to miejsce na mapie wspomnień. Mój Otryt zmieniał się kilka razy...

Otryt I.

Mama zadzwoniła do Szwajcarii, że przyszło pismo z UW. Na moją prośbę otworzyła je i przeczytała. Wydział Socjologii nie tylko przyjął mnie do grona swoich studentów, ale jeszcze zamierza zorganizować mi czas i zaprasza na koniec wakacji w Bieszczady. Byłam dumna i czułam się wyróżniona. Pomyślałam sobie, będę miała jeszcze tydzień po powrocie z Zachodu, żeby się przygotować. Adidasy już mam. Raz kozie śmierć. Poszłam na zaanonsowane w piśmie spotkanie organizacyjne. W pomieszczeniu na Małym Dziedzińcu obecni byli już Joanna, zwana później Landryną, Tomek „Mlekopij”, jeszcze bardziej przejęty niż ja, Krzysz z Ełku, Ola Sztetyłło. Przemek? I Bardzo Ważny Kierownik Obozu.

Podchodziliśmy pod górę. Kierownik przez cały czas twierdził, że do szczytu już tylko „zabi skok”. A kiedy podeszliśmy - Chata nas oczarowała.

Później ci starsi, Bardzo Ważni Otrytczyzy, zaproponowali mnie i Oli, żebyśmy przyjechały na Barana. Na Barana! Imprezę co najmniej tak ważną, jak coroczny festiwal piosenki w Sopocie.

Powrót z Zerówki - to przede wszystkim Michał Gierbisz. Ten, na złość Heniowi Banaszakowi był pierwszym, który namówił mnie do wypicia ALKOHOLU.

Piwa! W knajpie „Turystyczna” w Ustrzykach Dolnych- przed odejściem pociągu. A jak już mnie spoił- to, sikającej w tych smrodliwie niekonwencjonalnych okolicznościach, zadał głośno, do dziś brzmiące w uszach, pytanie: „Malina- strzyknęłaś sobie w porcelankę?”. To cud Boski, że do dziś nie tkwię w tej śmierdzącej toalecie. Wówczas byłam gotowa pozostać tam do końca życia - byleby tylko nie pokazywać się rechoczącym tubylcom na oczy!

Otryt II.

Na Barana zmówiliśmy się z Olką, że jedziemy razem. Na Wschodnim wypatrzyliśmy Madzię (Majewską) i Kierownika, który już wtedy był dla nas Malutkim.

A Malutki... Nie wiem, jak to się stało, że w Ustrzykach Dolnych poszłam rozmienić pieniądze a po powrocie okazało się, że mój autokar, z moimi kolegami i moim plecakiem - odjechał. Usiadłam na ławeczce zdeterminowana, żeby samodzielnie, bez niczyjej pomocy dotrzeć na Otryt! Po kilku minutach zobaczyłam Malutkiego- taszczącego dwa plecaki.

Podejście od Lutowisk. Dużo prywatnych opowieści przerwanych spotkaniem dwóch legendarnych postaci: Grądzkiego i Filipa- zaopatrzonych w szkło, w którym kosztowaliśmy zawartość butelek z plecaka przy wtórze pieśni „Gdybym to ja miała skrzydłeczka jak gaska”...

Mój pierwszy Baran to równocześnie pierwsze w życiu złamanie: ręki i życiowych zasad.

Nie wiem, czy Henio Banaszak pamięta, jak wrzucał mnie podczas tańca do kominka. Ja zdecydowanie nie przypominam sobie, jak pijana wypadłam na łąkę i uszkodziłam sobie rękę. To, co pamiętam, to że rankiem po Baranie (czy to wtedy Szczupły i Komisarz straszili jajami barana niewinne dziewczę?) Grześ Kostrzewski uznał, że ręka wymaga zapakowania w folię po uprzednim obłożeniu rywanolem. W życiu mi później nic tak nie spuchło, jak ta ręka gotująca się w folii przez całą podróż do W-wy.

Podczas tego wyjazdu byłam napiętnowana na Otrycie jako kobieta nie tylko z makijażem ale w mitenkach, czyli takich rękawiczkach bez palców; i w spódnicy....a cóż im przeszkadzały te spódnice na zgrabnych acz, owszem, pupach?!!

Do W-wy wracaliśmy po Baranie rano - a był to ważny dzień wręczania nam na Karowej indeksów. To, co pamiętam do dziś to fakt, że mama moja i Oli postanowiły powiadomić GOPR o zaginięciu pociech i zażądać poszukiwań helikopterem ...Podczas wykładu prof. Wiatra H. Banaszak (w komfortowej sytuacji, gdyż żona zostawiła mu garnitur w Instytucie) spał snem kamiennym, a my, nowa kadra socjologiczno-otrycka, marnie prezentująca się na tle pozostałych, czysto socjologicznych, próbowaliśmy się koncentrować....

Otryt III.

Byłam już Maliną Otrycką, ze wszelkimi tego konsekwencjami. Polegałam na śpiewaniu, kokietowaniu mężczyzn, malowaniu paznokci. Resztę chowałam skrupulatnie przed ludzkim wzrokiem. Tworzyłam Naczelny Otrycki Śpiewający Zespół Reprezentacyjny (na fali był Stachura, Brassens, Gdańszczanie: tj. Majka, Hanys, Regina etc.). Wówczas, po raz pierwszy, na złość całemu światu, pomiędzy Jaskólkami, wypaliłam całą paczkę rąbniętych z kominka „Wiarusów”... Pijałam, podobnie jak Jarek, wino wyłącznie słodkie. I zawsze wносиłam na górę cały plecak nierozwiązanych problemów życiowych...

Otryt IV - to realizacja Boskiego planuA Bóg miał w wielkim planie taką Malutką miłość.

Dzięki mu za to. I tak naprawdę dziś mój Otryt to Malutki.... czyli Marek. Pierwsze śpiewanie... Pierwsze, po kolejnym narzeczonym, pocieszanie... Pierwsze marzeń zwierzanie...Pierwsza prawdziwa przyjaźń... Pierwsze ciało niepokoje...Pierwsza prawdziwa obietnica...Zaręczyny...Ślub...Życie...Jaś....Oleś...Wspominki ...Śpiewanki....I to wszystko w kontekście Otrytu...Maruchy, Kaśki, Izki,

Henia Banaszaka, Michała Gierbisza, Belwitta, Szczupłego, Olka, Komisarza, Grądzkiego, Wojtasa. Mariusza Rzanego, który nie przypadkowo jest chrzestnym naszego Starszego... I Szwagierki oczywiście. Imaginujcie sobie, że po wizycie u Grądzkich, jakieś 3 lata temu, oglądałam kasetę wideo i ktoś ze znajomych na widowni nagle krzyknął „O, Szwagierka”. A ja na to: „Jaka szwagierka?..” „No, NASZA szwagierka!” Wtedy do mnie dotarło, że niedawno spotkana siostra Ewy Grądzkiej, to Szwagierka!

I Bogna zawsze obok nas... Często mam wrażenie, że Otryt tkwi w nas wiecznie... W tych zawsze otwartych drzwiach naszego mieszkania...W tym stojącym od czapy, wśród książek o biznesie, Jesieninie mówiącym :”Klion ty moj, apawszyj”.

W mojej poprzedniej firmie wręczyłam prezesowi w geście podziękowania za coś tam - rzeźbę Maruchy znalezioną zupełnie znieńcka i zakupioną na zamku w Lidzbarku. Może mój eks prezes nie do końca zrozumiał, jak wielki skarb dostał w swoje ręce. Ale z pewnością rozumie to mój starszy syn, Jasio, kiedy tatuś, z rozmarzonym wzrokiem mówi mu o Otrycie, na który zamierza go właśnie zabrać. A nasz ostatni Otryt to właśnie Jaś noszony pod sercem...Chciałabym, żeby historia zatoczyła koło. Dzięki Otrytowi mam męża, który jest moim największym przyjacielem. Może Otryt przyczyni się do tego, że ja sama stanę się nim w jeszcze większym stopniu także dla moich dzieci...

Żyjemy w zupełnie innych czasach niż wtedy, kiedy poza przyjaźnią i wartościami nie było praktycznie nic więcej. Świat nas pcha w ramiona mamony. Ale my pielęgnujemy w sercu, czy w pamięci, coś więcej: świat wartości Otryckich. I oby każdy mógł znaleźć w tym POWROCIE choć kawałek starego, sentymentalnego świata....

Czego wszystkim życzę, bo sama mam go w Malutkim kawałku, na co dzień☺...
Malina

Jesienna ballada

Autor: Wojtek Mazur

Jesień piwne oczy ma
Czas
I ukochany płaszcz
Płaszcz na chłody
Niepogody
Płaszcz
Jesień lubi w barze piwo
Jak ty i ja
I lubi, lubi, lubi
Płaszcz na chłody
Niepogody
Płaszcz
Jesień to zakochanych czas
Szepczesz
Otulasz kogoś w płaszcz
Płaszcz...

POŻEGNANIA

Ten zbiór wspomnień nie będzie pełny i uczciwy, jeżeli nie poświęcimy w nim choć trochę miejsca tym, z naszych Przyjaciół, którzy opuścili nas w ostatnich latach. Poniżej wspominamy Wojtka Mazura i Olka Łazarskiego...

O OLKU...MAREK PARZYDŁO

O śmierci Olka dowiedziałem się w czwartek 17 maja. Tego dnia mieliśmy się spotkać u niego na Jarze. Olek zapisał to w kalendarzu. Tydzień wcześniej rozmawiałem z nim przez telefon. Mówił z trudem, był zmęczony. Bardzo dużo pracował. Nie mógł spać. Za to chwalił się postępami w terapii. Chociaż nie pił już od paru lat, ciągle potrzebował pomocy. Właśnie przenieśli go do grupy „zaawansowanej” i wiele sobie po tym obiecywał. Nie pytałem o więcej, chciałem się z nim spotkać.

Przecież dawno się nie widzieliśmy. Pamiętam, że ostatni raz widzieliśmy się na Otrycie. Był trzeźwy jak nigdy. Zawiozłem go z butelkami do punktu skupu. Dla Olka to była filozofia. Kto dziś pamięta jego manifest w sprawie makulatury? Wtedy na Otrycie ludzie już go nie rozumieli. On też z zakłopotaniem przyglądał się ludziom. To już nie były jego czasy. Nigdy nie rozumiałem tej całej Olkowej filozofii, tych lektur które pilnie konspektował. Bawiły mnie te zeszyty, fiszki, notesy i papierzyska, które wiecznie ze sobą dźwigał. Ale zawsze szanowałem to jak bardzo nad sobą pracował i jak bardzo serio traktował swoje życie.

Nie umówiliśmy się od razu. Potrzebował tygodnia na posprzątanie mieszkania z papierów i chałtur.

Potem myślałem, że to sprzątanie i prośba o zakończenie paru drobnych spraw to był przecież znak, który trzeba było odczytać. Ale przecież Olek nic nie planował. Nie oszukałby mnie. Nie dlatego że nigdy nie kłamał. Po prostu wiem że mnie by nigdy nie oszukał. Był wspaniałym, wrażliwym, oddanym Przyjacielem. Wiem, że nie chciałby żebym czuł się winny.

KOMISARZA WSPOMNIENIE O WOJTKU

Mazur należał do najbliższych mi osób. Nasza znajomość przekształcała się w przyjaźń latami. Długo przyglądaliśmy się sobie nawzajem. W dyskusjach i rozważaniach uładzaliśmy świat tak, aby stał się bardziej zrozumiały. Obu nas interesował „teatr ludzki” - zwłaszcza historie o kobietach, ale z równą łatwością mogliśmy rozmawiać o obróbce drewna, kamienia czy kolekcjach muzealnych.

Naszą pasją były wycieczki w zakamarki bazarów, dyskusje z handlarzami. Wojtek mógł przez godzinę targować starą fajkę do swojej kolekcji, a przez następną zmuszać mnie do opukiwania wszystkich szaf i komódek, jakie zwróciły jego uwagę. Olejny obraz, który wisi w mojej sypialni Wojtek wypatrzył w rękach „menela”, na ulicy poza bazarem. Zmusił mnie do kupna - „Komisario! To sam bym wziął gdybym miał kasę, zobacz jaka rama. Weź - nie będziesz chciał to odkupię później”. Później już nie chciałem sprzedać. Rzeźby, fotografie, ramy od obrazów, nożyki i dłuta do drewna, srebrny dzbanek - nie jestem w stanie opisać wszystkich historii związanych z tymi przedmiotami, które kojarzą się z Wojtkiem. Dyskusje z cygańskimi handlarzami, historie z wędrówek po wiejskich chałupach. Mazur był mistrzem w obrzydzeniu handlarzom sprzedawanych towarów i zbijaniu ich ceny. Zawsze byliśmy gotowi wyruszyć w teren po nowe zdobycze. Zawsze wydawało mi się, że mamy jeszcze czas...

Mieliśmy swoje sekrety dotyczące renowacji drewna czy sposobów ostrzenia dłut. Drewno i drzewa zawsze Go fascynowały. Kiedyś powiedział: **Pan popełnił błąd używając gliny, o wiele piękniejszy byłby świat gdyby tworzył z drewna ...**

Kilkakrotnie namawiałem Wojtka, aby wykonał rzeźbę o tematyce sakralnej, na zamówienie - dla mnie! Przez lata odpowiadał, że „nie czuje tego tematu”. Zdumiałem się kiedy pokazał mi wykonane przez siebie „ikony”. Prawdziwie mistrzowsko wykonane, w twardym drewnie, pedantycznie wykończone. Przyznaje, liczyłem iż następna będzie już w moich rękach... (oglądałem na Długiej kolekcję dłut, którymi zamierzałem przekupić Wojtka). Moja Haneczka twierdzi, że „Pan często zabiera tych, którzy odpracowali już swoje grzechy i nie mają już nic do zrobienia”. Nie nam maluczkim znać wszystkie ścieżki, którymi chadza Jego sprawiedliwość.

Odchodzę - Wojtek Mazur

Odchodzę,
Nie będę już wam grał
Odchodzę
skończyło się lato pszczoł
nie jestem już taki młody
gwiazda dni, tamtych dni
zbladła już
To piwo
Wypiją za mnie inni
Ktoś inny
stare banjo weźmie w dłoń
nie jestem już tak młody
Gwiazda dni, tamtych dni
Zbladła już.
Sela vi
Mawialiśmy zawsze tak
Ech życie
Serdeczne dzięki za to wam
Nie jestem już tak młody
Gwiazda dni, tamtych dni
Wypaliła się.